

*Jesteś pięknym wspomnieniem
wspólnie odbytych podróży*

Pamięci mojego męża

Podróże to:

- czas odzyskany
- spełnianie marzeń
- wspomnienia
- poznawanie siebie i innych
- nieuleczalna choroba, która nazywa się światoholizm

PODRÓŻE ZAGRANICZNE W CZASACH PRL-U

W czasach PRL-u Polaków fascynował Zachód, ale interesowały wyjazdy zagraniczne, nawet do krajów komunistycznych, gdziekolwiek, byle ruszyć się poza granice Polski. Niestety, nie było to wcale takie proste. Na paszport czekało się miesiącami. Funkcjonowało pojęcie przydziału dewiz.

W czasach gierkowskich istniały dwa rodzaje paszportów. Jeden – przeznaczony do podróżowania po krajach socjalistycznych i drugi, przeznaczony do podróży po krajach kapitalistycznych i Jugosławii. Jak stwierdził funkcjonariusz w „Misiu” Stanisława Barei: „W ciągu siedmiu dni od powrotu z zagranicy należy paszport zwrócić”. Paszport zwracano do Wydziału Paszportowego w Wojewódzkim Urzędzie Spraw Wewnętrznych. Jednocześnie odbierało się z tegoż wydziału dowód osobisty, który przy wydawaniu paszportu należało tam zostawić.

Władza w PRL-u utrudniała wyjazd rodakom za granicę szczególnie do tak zwanych państw kapitalistycznych. Uzyskanie paszportu to była droga przez mękę i doskonały temat dla barejowskiej komedii. Zachód był czymś zewnętrznym, czymś, od czego Polska została oddzielona, czymś, co było prawie nieosiągalne, i do czego można było wzdychać z zachwytem. Wszystko co zachodnie, z góry uważane było za lepsze, o czym w Polsce można było tylko marzyć. Wszystko co zachodnie, wszystko bez wyjątku, stanowiło niedościgły ideał: amerykański jazz, francuskie piosenki i zachodnia moda.

W połowie 1956 roku uproszczono procedury przyznawania paszportów, chociaż dziś, z obecnej perspektywy, wydają się biurokratyczną męką. Należało złożyć podanie, życiorys, zaproszenie od rodziny z zagranicy oraz zaświadczenie o urlopie. Aby wyjechać

do kraju kapitalistycznego trzeba było postarać się o wizę danego państwa. Najłatwiej mogły wyjechać osoby, które miały za granicą rodzinę i te rodziny były w stanie zapewnić im zarówno utrzymanie, jak i opłacić podróż.

Można było zapisać się na którąś z wycieczek organizowanych przez Orbis czy PTTK, a później przez zakłady pracy. Ograniczeniem było między innymi to, że paszport po powrocie z reguły trzeba było zdać, zaś przed wyjazdem trzeba było wypełniać ankietę zawierającą dane takie jak m.in., z czego obywatel będzie się utrzymywał za granicą, kto będzie utrzymywał obywatela, jaką tam ma rodzinę itd.

Polska zaczęła się otwierać na świat w latach 60., a znacznie otworzyła się za rządów I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka w latach 70. XX wieku.

O wycieczce na Zachód marzyło coraz więcej osób, co zwiększało liczbę podań o paszport. Według statystyk prowadzonych przez straż graniczną, pod koniec rządów Władysława Gomułki, pomimo różnych decyzji odmownych odnotowywano prawie 200 tysięcy wyjazdów zagranicznych rocznie, chociaż na Zachód wypuszczano każdego roku nie więcej niż 70 tysięcy osób. Głównie mogli wyjechać członkowie jedynej słusznej partii, sportowcy, artyści, naukowcy, inteligeni oraz szpiedzy.

Niedługo po dojściu do władzy I sekretarza KC Edwarda Gierka nastąpiło zliberalizowanie zasad wydawania paszportów. Dzięki temu każdego roku odpocząć od PRL-u za granicą mogło już ponad pół miliona Polaków. Ich wakacje wyglądały pracowicie. Wiedza o tym, co, gdzie i za ile można dobrze sprzedać i kupić, była najważniejszym celem polskich turystów. Polscy turyści bez trudu dostrzegali różnice w zaopatrzeniu sklepów, różnice kursów wymiany walut, różnice cen i jakości towarów w Polsce i odwiedzanych krajach. Wycieczka po prostu musiała się zwrócić.

Nieraz sprzedawano to, co mieściło się w normach wywozowych, czyli kilka sweterków, kilka paczek papierosów, czy parę kilogramów jedzenia. Zdarzało się, że wycieczkowicze sprzedawali często rzeczy

osobiste, wywożone niekoniecznie z myślą o handlu. Za to przedmioty kupione na Zachodzie odsprzedawano po powrocie znajomym, handlarzom na bazarach lub wystawiano w komisie. Popularne były ogłoszenia w prasie. Bardzo szybko Polacy nauczyli się też wyjeżdżać tak, by jak najmniej wydać, a najwięcej zarobić.

Jednym z towarów czarnorynkowego eksportu były produkty ze szkła, popularnie zwane kryształami. Wyjątkowość tego specyficznego towaru świetnie przedstawiono w jednym z odcinków serialu „Czterdziestolatek”, o służbowej podróży inżyniera Stefana Karwowskiego do Budapesztu. Karwowski chciał w Budapeszcie kupić nowy kryształ, na upominek, bo ten wieziony z Polski rozbił się Karwowskiemu w podróży. I to wprawiło w szok, a właściwie w konsternację węgierskiego sprzedawcę.

W ZSRR można było sprzedać każdą ilość odzieży, a absolutnym hitem były jeansy, niekoniecznie drogie i markowe z Zachodu, ale równie dobrze sprzedawało się nasze polskie podróbki – zarówno produkowane w szczecińskich zakładach, jak i te wyrabiane sposobem chałupniczym. Przez lata powstały prawdziwe szlaki handlowe: kosmetyczno-odzieżowy do Rumunii, kryształowo-dewizowy do Jugosławii lub na Węgry oraz lniany do Grecji. Nieoficjalnymi kanałami przekazu międzyludzkiego trzeba było zdobyć informacje, co gdzie, po ile, i najlepiej się sprzedaje.

Wracając z zagranicy przywoziło się nie tylko dewizy, czyli dolary i marki zachodnioniemieckie, ale także waluty socjalistyczne, które również można było sprzedać na czarnym rynku. Z podróży zagranicznych przywożono też towary, których brakowało na polskim rynku. Z Turcji, która słynęła z wyrobów skórzanых przywożono kozuchy, z ZSRR złoto i aparaty fotograficzne, a Czechosłowacja słynęła z artykułów przemysłowych i słodczy. Otwarcie granicy z NRD w 1972 roku spowodowało, że Niemcy chętnie kupowali towary z Polski. Niemiecka straż graniczna zatrzymywała osoby przewożące rodzinę, margarynę, materiał na garnitury, bądź też kilogramy wiórków kokosowych i tym podobnych produktów.

O handlu wiedzieli wszyscy, również organizatorzy wyjazdów turystycznych, ale często przymykali na niego oko, a nawet sami turystom go ułatwiali. Zakłady pracy też organizowały jednodniowe wycieczki do Czechosłowacji, w sam raz, aby coś sprzedać i kupić oficjalnie lub prywatnie. Popularne były wycieczki do Austrii lub Szwecji o bardzo skróconym programie zwiedzania, za to dogodne dla transakcji handlowych. Większość podróży na Węgry dla odwiedzających ten kraj naddunajski sprowadzała się do odwiedzin dworca kolejowego Keleti w Budapeszcie, wokół którego działały targowiska systematycznie zaopatrywane towarami z Polski.

W handlu detalicznym turyści stosowali metody łańcuszkowe, polegające na sprzedawaniu i kupowaniu towarów we wszystkich krajach, przez które się przejeżdżało. Podróże do Rumunii, Bułgarii i Turcji odbywały się przeważnie przez Lwów, a był to ważny punkt czarnorynkowej turystyki handlowej. Sprzedawano tam głównie jeansy, a kupowano towary cieszące się zainteresowaniem w krajach, do których turyści zmierzali. W ten sposób specyficzny tranzyt lwowski, zarówno dla polskich celników, jak i radzieckich milicjantów, stał się problemem.

Po 1956 roku towary przywożone do Polski można było sprzedać w otwartych państwowych komisach prawie bez ograniczeń. Obowiązywał tylko zakaz skupu przedmiotów bez wątplenia pochodzących z kradzieży. Do wartości 6 tysięcy złotych transakcje były anonimowe i to pozwalało legalizować prywatny wycieczkowy import. Tak też postępowali marynarze – ważne źródło zaopatrzenia, zwłaszcza w wyroby zachodnie. Większość jednak towarów kupionych w ZSRR, Turcji czy NRD sprzedawano za pomocą prywatnych kontaktów, zużywano na swoje potrzeby, czy też przywożono rodzinie i znajomym.

Od lat 60-tych handel uznawano za najlepszy sposób dofinansowywania wczasów i powiększania budżetu domowego. Chociaż pojawiło się polityczne poparcie dla wyjazdów za granicę, istniała jednak przeszkoda dla swobodnej turystyki, a mianowicie dewizy. Państwo gromadziło walutę, głównie dolary, ale niechętnie pozbywało się

ich. Stosowano ogromne ograniczenia w limitach walut nie tylko zachodnich, ale również socjalistycznych, przyznawanych turystom na wyjazd. Brak pieniędzy na wakacje zmuszał wyjeżdżających do ich zdobycia, co generowało czarnorynkowy turystyczny handel walutą. Narodziło się wtedy popularne hasło: „Jesteśmy zbyt biedni, aby urlop spędzać w kraju”.

Handel czarnorynkowy był znany milionom Polaków wyjeżdżających na urlop do „bratnich krajów”.

Handel zagraniczny to był fenomen, który jednocześnie łączył masowe wyjazdy zagraniczne z zaopatrywaniem rynku w towary, których ciągle w kraju brakowało. To zjawisko handlowe, zniknęło niedługo po upadku w Polsce systemu realnego socjalizmu.



Wakacyjny handel (podróż do Grecji)

Pierwsza wyprawa rodzinna do Jugosławii

Lato 1978

Moja rodzina: ja, mąż i dwoje dzieci rozpoczęliśmy zwiedzanie Europy w latach 70. XX wieku w sposób taki, jak większość rodaków. Swoim transportem, czyli samochodem osobowym marki Polonez, załadowanym do ostatniego milimetra przestrzeni i z bagażnikiem na dachu. Byliśmy wyposażeni we wszystkie niezbędne do życia przedmioty: namiot, śpiwory, materace, stolik turystyczny, krzesła turystyczne, butlę gazową z palnikiem, naczynia kuchenne oraz słoiki z jedzeniem, zapasy ryżu, makaronu, ziemniaków, konserwy, herbatę, przyprawę. Kawy niewiele się piło, bo nie można było jej dostać, to był rarytas, podobnie jak papier toaletowy.

Do tego bagażu, oprócz niezbędnych rzeczy osobistych należało zaopatrzyć się w artykuły handlowe. Przecież koszty wyjazdu musiały się zwrócić, a nawet należało trochę zarobić na następny. Trzeba też było zabrać przewodniki i mapy po kraju docelowym i krajach tranzytowych oraz mapy miast, przez które musieliśmy przejechać. Nie było nawigacji w samochodach czy telefonach i dziwne, jak my, nie znając języków, dawaliśmy radę pokonywać te kiepsko oznakowane drogi i bezdroża.

Rynek polski był marnie zaopatrzony i towar na handel należało gromadzić przez kilka miesięcy, z wcześniejszym rozpoznaniem, co, gdzie idzie i co się opłaca kupić, aby potem z zyskiem to sprzedać. W każdym kraju inne były zapotrzebowania na nasze towary. W Związku Radzieckim głównie był popyt na wyroby jeansowe, kosmetyki, papierosy i gumy do żucia. W Rumunii hitem był biseptol, stosowany jako środek antykoncepcyjny. Biseptolowa antykoncepcja

cja tak działała, że wielkie gromady dzieci biegały w każdej rodzinie. Ale też dobrze sprzedawały się radia tranzystorowe i papierosy. W Jugosławii wyroby bawełniane i lniane, takie jak pościel, obrusy, ręczniki oraz wyposażenie turystyczne. Na Węgrzech szły ubrania robocze, bawełna, no i oczywiście kryształ. W Grecji podobnie – to co w Jugosławii, a dodatkowo kosmetyki: męska woda po goleniu marki Karol i krem żeński Uroda robiły furorę. Przecież na polskim rynku nie mieliśmy wielkiego wyboru kosmetyków, a drogich towarów nie było sensu kupować, bo nie miało się na nich zarobku.

Wiele sprytu i umiejętności wymagało spakowanie tego majdanu tak, aby dostać się do niezbędnych w podróży rzeczy codziennego użytku. A do celu podróży, czyli jakiegoś obranego kempingu jechało się kilka dni, w różnych warunkach drogowych i pogodowych.

Naszą pierwszą miejscówką była Jugosławia. Było to wtedy jedno państwo. Socjalistyczna Federacyjna Republika Jugosławii, która obejmowała sześć republik: Chorwację, Macedonię, Czarnogórę, Serbię, Słowenię, Bośnię i Hercegowinę. Prezydentem SFRJ od 1953 roku był przywódca Komunistycznej Partii Jugosławii Josip Broz Tito.

Kraj pograżył się w narodowościowym, politycznym i ekonomicznym kryzysie po jego śmierci w maju 1980 roku. Rosły nacjonalistyczne i etniczne napięcia, z którymi następni prezydenci nie potrafili sobie poradzić.

Jugosławia była jednym z założycielskich państw Organizacji Narodów Zjednoczonych. Po rozpadzie SFRJ, nowo powstałe kraje ubiegały się indywidualnie o członkostwo w ONZ.

Po podziale Jugosławii, w byłych republikach wybuchły krwawe konflikty. W 1991 roku Jugosłowiańska Armia Ludowa, zdominowana przez Serbów, zaatakowała Słowenię. Następnie, po krótkich walkach, wojna przeniosła się do Chorwacji. W Bośni i Hercegowinie również wybuchły krwawe walki, która zakończyły się w 1995 roku po podpisaniu porozumienia pokojowego w Dayton. Dayton to miasto w środkowowschodniej części Stanów Zjednoczonych, w stanie Ohio. W 1991 roku, Albańczycy zamieszkujący Kosowo, które było

okręgiem autonomicznym Serbii, zażądali niepodległości. To z kolei wywołało konflikt serbsko-albański, który narastał, a w efekcie doprowadził do wybuchu walk w 1998 roku. Konflikt w Kosowie zakończyła interwencja wojsk NATO i porozumienie pokojowe podpisane w 1999 roku.

Konflikt w byłej Jugosławii, który zakończył się całkowitym rozpadem federacji był jednym z najtragiczniejszych w Europie po II wojnie światowej. Ta wieloletnia wojna przyniosła proklamowanie niepodległych państw, ale też olbrzymie straty w ludziach i gospodarce kraju. Była to bratobójcza, bezkompromisowa walka zwaśnionych narodów, w której dochodziło do ludobójstwa, zbrodni przeciwko ludzkości i czystek etnicznych. Wielu ludzi, w poszukiwaniu pokoju, opuściło swoje domy i zasiłowało grono uchodźców.

Odwiedzając Jugosławię po raz pierwszy zazdrościliśmy im dobrobytu. U nas pusto na półkach, a tam wszystko, tylko dla nas drogo, bardzo drogo.

Po załatwieniu formalności związanych z wyjazdem, a mianowicie paszportów, przydziału dewiz, dokumentów tranzytowych i zapakowaniu bagaży, ruszyliśmy w pierwszą podróż, której celem była Jugosławia. Ustaliliśmy trasę przez Związek Radziecki, dokładnie przez Ukrainę, następnie Rumunię, Bułgarię do Jugosławii.

Po dotarciu do granicy zaskoczyła nas ogromna kolejka samochodów czekających na przejściu granicznym w Medyce. Jak się później okazało, kolejka miała około kilometra długości. Nasze dzieci: czteroletnia córka i dziewięcioletni syn lubili podróżować, pod warunkiem, że po wyruszeniu samochodem spod domu już mieli coś do konsumowania. O ile syn miał normalny, umiarkowany apetyt, to córka była typowym niejadkiem, można powiedzieć skrajnym niejadkiem. Kiedy w wieku trzech lat została zapisana do przedszkola to wytrzymała w nim miesiąc. A po miesiącu pani dyrektor przedszkola zaprosiła mnie na rozmowę. Zapytała, czy córka w domu je normalnie. Odpowiedziałam, że normalnie to nie je, bo mało i z wielkim trudem wciskamy w nią, co tylko się da. Pani dyrektor uświadomiła

mi, że w przedszkolu nie je nic, zupełnie nic, a około południa prosi o cukiereczka i dostaje go, aby z głodu nie umarła. W związku z tym pani dyrektor nie chce brać odpowiedzialności za zdrowie naszego dziecka niejadka i musimy ją zabrać z przedszkola.

Jedynie w czasie jazdy samochodem nie trzeba było namawiać naszego niejadka do konsumpcji, oczywiście najlepiej słodczy, ale nie tylko.

Ze względu na długie koczowanie na granicy zmuszeni byliśmy przygotować coś do jedzenia i picia. No i tu się okazało, że jest problem z kuchenką lub butlą gazową, wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, co szwankuje. Ledwo zapalony płomień za chwilę gasł. Jakiś kolejkowy towarzysz podróży pożyczył nam specjalną igłę do czyszczenia dysz palnika. Jako niedoświadczeni nowicjusze podróżowania nie byliśmy w takie akcesoria wyposażeni. To czyszczenie pomagało na chwilę, ale później znowu problem wracał. Kolejkowy towarzysz podróży zabrał czyszcidełko, a my zostaliśmy z problemem niemożności przygotowania choćby herbaty. Ten problem, jak się później okazało, w skali całej podróży można ocenić jako problemik.

Po wielogodzinnym wyczekiwaniu na przejściu granicznym i dotkliwej kontroli granicznej, ruszyliśmy do Lwowa z nadzieją na pierwsze handlowanie i konieczność przenocowania. Gdy dotarliśmy do Lwowa była już noc. Jakimś cudem znaleźliśmy kemping, dziwnie usytuowany na pagórkach, jakiś takich nierównościach. Było ciemno, niewiele można było zobaczyć, aby wybrać dogodne miejsce do rozbicia namiotu. To jego przypadkowe ustawienie przysporzyło nam wielu problemów, jak się wkrótce miało okazać.

Wykończeni pierwszymi trudami podróży, padliśmy w namiocie natychmiast zasypiając. Około trzeciej nad ranem obudziłam się, czując, że leżę w wodzie, której w namiocie było już dużo, bo wpływała na materace. Waliły pioruny, lało jak z cebra, a my, niestety, musieliśmy zwinąć namiot i wyposażenie upapране w glinie i zmoczone w deszczu. Wrzucaliśmy wszystko byle jak, upychając do samochodu i tak oto pożegnaliśmy się z kempingiem i Lwowem. Pierwszy handel

przeszedł koło nosa. Jechaliśmy do granicy, byle szybciej opuścić niegościnne tereny ZSRR. Korzystając z mapy, jako pilot wyprawy wybrałam najkrótszą trasę do Rumunii, do przejścia granicznego w Czerniowcach, przez Iwano-Frankiowsk (dawniej, kiedy te tereny należały do Polski był to Stanisławów).

Z sentymentem, w kiedyś polskim Stanisławowie, postanowiliśmy zjeść obiad w restauracji, bo przecież nie było możliwości przygotowania nawet herbaty na naszym wadliwym turystycznym sprzęcie. Obiad był dobry i tani. Zaskoczyło nas, że jakoś tak podejrzanie tubylcy na nas patrzą, a w dodatku po drodze ze Lwowa nie spotkałimy żadnych Polaków, co wydało nam się nieco dziwne, zważywszy na długie kolejki na przejściu granicznym. Tajemnica rozwiązała się natychmiast po naszym wyjściu z restauracji. Najedzeni, w dobrych humorach wyszliśmy na zewnątrz i humor nas natychmiast opuścił, gdy przy naszym samochodzie zauważyliśmy stojących dwóch funkcjonariuszy milicji. Czekali na nas. Nie wróżyło to niczego dobrego.

– А что вы здесь делаете? (*pol.* A co wy tu robicie?) – zapytał milicjant.

Tłumaczymy, pokazując mapę, że tranzytem zdążamy do Rumunii.

– То запрещено.Транзит не так. (*pol.* To zabronione. Tranzyt nie tędy.) – oświadczył funkcjonariusz milicji.

W ten sposób dowiedzieliśmy się, że po zaprzyjaźnionym kraju nie można się poruszać według mapy, tylko ustalonym, wyznaczonym tranzytem i w określonym ściśle czasie, którego przekroczyć nie wolno. O tym nikt nas nie raczył wcześniej poinformować. Jak chcesz uprawiać turystykę międzynarodową to musisz znać przepisy, zakazy i nakazy, szczególnie te u przyjaciół.

Milicjant pokazał nam na mapie jak przebiega trasa tranzytowa. Musimy zawrócić prawie do Lwowa i pojechać na przejście graniczne w Czerniowcach przez Tarnopol.

Tłumaczymy, trochę po rosyjsku, trochę po polsku, trochę na

migi, że nie mamy ani czasu, ani talonów na paliwo, bo te, które otrzymaliśmy, już wykorzystaliśmy. Prosimy o możliwość przejechania tą drogą do Czerniowców, bo niewiele drogi do granicy pozostało.

– Вы не можете, не надо. (*pol.* Nie możecie, nie wolno.) – kategorycznie powiedział milicjant.

Koniec dyskusji. Spojrzeliśmy z mężem po sobie i pomyśleliśmy to samo. Sięgnęłam po towar na handel.

– Proszę, dla żony pomadka, dla ciebie papierosy, a dla dzieci gumy do żucia – powiedziałam obdarowując jednego, tego ważniejszego według dystynkcji i podobnie tego drugiego.

I już rozmowa była inna.

Towarzysze milicjanci zaoferowali się poprowadzić nas krótszą drogą do tranzytu. Gazik milicyjny przodem, a my za nim przez lasy, bezdroża, z duszą na ramieniu, czy nie zamierzają nas rozstrzelać i zabrać ekwipunek. Przecież byli uzbrojeni po zęby.

Na szczęście uczciwie doprowadzili nas do drogi tranzytowej, skąd już pełnoprawnie podążaliśmy do granicy właściwym tranzytem. Przy drodze tranzytowej często były posterunki kontrolne, tzw. „GAJ” Jak się okazało każde zatrzymanie się na poboczu czy odejście za potrzebą, powodowało, że jakby spod ziemi wyrastał strażnik milicjant i już legitymował. Traktowani byliśmy jak szpieczy.

Udało się nam na przydzielonym paliwie i w narzuconym czasie dotrzeć do granicy z Rumunią. Z jakiegokolwiek handlu nici.

No i tu zaczął się kolejny problem. Nie mieliśmy czasu na wydanie rubli, czyli radzieckiej waluty, której wywozić nie było wolno. A wszystko to ze względu na burzę we Lwowie i wydłużenie trasy. Aby je wywieźć, trzeba było dobrze ukryć je przed celniczką. Wydawało mi się, że schowanie pieniędzy w buciki córki będzie dobrym i bezpiecznym schowkiem. Jakże się myliłam. Od tego miejsca celniczka zaczęła poszukiwania. Widać, nie ja jedyna wymyśliłam ten sposób. Celniczka zabrała ruble i wydała bumagę poświadczającą zabranie ich do depozytu. Nie zamierzaliśmy wracać tą koszmarną drogą. Tak więc odbiór rubli nie był możliwy. Po tych przygodach

postanowiliśmy, że wrócimy inną drogą, przemierzając bardziej cywilizowane kraje.

Rumunia przywitała nas cudną, słoneczną pogodą. Humory nam się od razu poprawiły i zaczęliśmy poszukiwania miejsca na postój, aby zrobić porządek z zabłoconym bagażem, wysuszyć zamoczoną pościel, materace, nasze przemoczone ubrania i poskładać to wszystko w należyty sposób.

Znaleźliśmy łączkę nad rozlewiskiem i tam rozbiliśmy nasz obóz. Mąż, jako kierowca, musiał wypocząć po trudach prowadzenia samochodu po ruskich bezdrożach i nieprzespanej nocy. Ułożył się na słoneczku, a ja z pomocą starszej latorośli zabrałam się do mycia, czyszczenia z błota i brudu namiotu, materacy i śpiworów. Dobrze, że była piękna pogoda i wszystko błyskawicznie schło. Po trzech godzinach już zaczęliśmy wszystko składać.

Spożyliśmy suchy prowiant, bo sprzęt do gotowania nawalał nadal i ruszyliśmy w dalszą drogę, zmierzając w stronę Morza Czarnego, w okolice Konstancy, z zamiarem kilkudniowego odpoczynku na kempingu. Mąż wypoczął, więc zamierzaliśmy nadrobić drogi. W Rumunii nie było narzuconego tranzytu, ani też ograniczeń czasowych pobytu. Po drodze byliśmy zatrzymywani przez tubylców chętnych do zrobienia zakupów. Tak więc, upłynęliśmy biseptol, jako środek antykoncepcyjny oraz papierosy i kosmetyki.

Na jednym z postojów miejscowe cwaniaki okradły nas w bezczelny sposób, zabierając nam nowiutki, nieprzeznaczony na handel, radiomagnetofon w taki sposób, że żadne z nas niczego nie zauważyło. No cóż, niektórzy Cyganie mają to we krwi.

Jechaliśmy do drugiej w nocy, ale padaliśmy już wszyscy, szczególnie kierowca. Zatrzymaliśmy się obok pola kukurydzy i postanowiliśmy trochę pospać w samochodzie. Dzieci na tylnym siedzeniu miały przygotowane łóża ze śpiworów i innych miękkich bagaży, a my położone przednie siedzenia. Zasnęliśmy nieprzytomni ze zmęczenia. Nawiedził mnie sen, że zbliżamy się do przejazdu kolejowego, już słysząc nadjeżdżający pociąg. Ja krzyczę do męża, aby zatrzymał się, on

nie reaguje. Zrywam się przerażona, widzę dwa ogromne reflektory świecące prosto na nasz samochód i odgłos zbliżającego się pociągu. Wrzeszczę wniebogłosy. Dzieci rozbudzone krzyczą, mąż nieprzytomny nie wie, co się dzieje, poszukuje kluczyków do samochodu, co nie jest łatwe. Nie może znaleźć, nie możemy odjechać, nikt nie ucieka z samochodu, strach paraliżuje jakiekolwiek działanie. Pociąg jest coraz bliżej, światła oślepiają nas w samochodzie, nawet nie widać, że pociąg przejeżdża bardzo blisko nas. Okazało się, że po ciemku nie zauważyliśmy, że zatrzymaliśmy się w pobliżu torów kolejowych, a dalej za torami rosła kukurydza.

Tak brutalnie zbudzeni, nie myśleliśmy o dalszym spaniu. Czuliśmy się, jakbyśmy zażyli kąpieli pod zimnym prysznicem. Ruszyliśmy dalej: kierunek Morze Czarne.

Trafiłszy na dobry kemping usytuowany niedaleko morza. Udało nam się znaleźć miejsce w pobliżu ogrodzenia, za którym rozpościerał się piękny widok na łąki, gdzie wypasały się dorodne konie, a w oddali był las. Wypaliliśmy się wygodnie, jeżeli koczowanie w namiocie można uznać za luksus. Rankiem mąż zabrał butlę i udał się do Konstancy w poszukiwaniu gazu. Ustalił wcześniej, że powodem gaśnięcia płomienia jest zanieczyszczony gaz. Wypuścił więc gaz z butli w powietrze i zabrał pustą, aby napełnić ją czystym gazem, by palnik mógł działać prawidłowo. Ja z dziećmi zostałam na kempingu, czekając na jego powrót. Dzieci bawiły się, a ja korzystałam z uroków słonecznej pogody na wygodnym leżaku. Opalałam się w pozycji półleżącej. W pewnym momencie poczułam łaskotanie na prawej stopie, otworzyłam oczy i obrazek ogromnego gada pełzającego po mojej nodze o mało nie doprowadził mnie do zawału. Zerwałam się z krzykiem, demonstrując indiański taniec. Sąsiedzi nieświadomi, co się dzieje, patrzyli na mnie jak na szaloną. Wąż tymczasem majestatycznie popęłznął na pastwisko w chaszcze. Ja z bijącym sercem zgarnęłam dzieci i uciekłam na plażę.

Mężowi dość długo zeszło na szukaniu punktu napełniania butli gazem, ale gdy wrócił domyślił się, że jesteśmy na plaży. Odnalazł nas

i usłyszał ode mnie, jeszcze przerażonej, o spotkaniu z wężem. Wężę to moja jedyna fobia. Boję się wszystkiego, co pełza, nie wyłączając jaszczurek. Pewnie dlatego, że tak panicznie boję się pełzających stworzeń, każda wycieczka, nawet do lasu w Polsce, obfituje w spotkania choćby z zaskrońcem albo jaszczurką.

Problem był ze spaniem, ponieważ panicznie bałam się wejść do namiotu. Przecież wąż mógł być wszędzie: pod podłogą namiotu, pod materacem, w śpiworze. Mąż z synem wyrzucili wszystko z namiotu i trzepali każdą rzecz przekonując mnie, że jest bezpiecznie. I tak bałam się panicznie. Dopadły mnie koszmary nocne z wężem w roli głównej. Wypoczywaliśmy dwa dni na kempingu. Kuchenka działała bez zarzutu, a my rozkoszowaliśmy się herbatą i gorącymi posiłkami. Jedynie noce były przerażające, bo sny krążyły wokół węży.



Spotkanie z Jugosłowianinem na osiołku

Trzeba było jednak ruszać do Jugosławii, bo to był cel naszej podróży. W Jugosławii widać było dobrobyt. W Polsce puste półki sklepowe, a tam wszystko. Zatrzymaliśmy się na kempingu i gdy

zapoznaliśmy się z cenami, już wiedzieliśmy, że to kraj nie na naszą kieszeń. W ciągu dwóch dni wydaliśmy większość przyznaných nam dewiz. Trochę pohandlowaliśmy, zakupiliśmy dolary i padła decyzja, że wracamy do Bułgarii, aby tam za znacznie niższą cenę wypoczywać nad Morzem Czarnym.

Po drodze do Złotych Piasków zwiedziliśmy Monastyr Rilski, leżący na wysokości 1100 metrów n.p.m. Monastyr został założony w XIV wieku na miejscu pustelni Iwana z Riły, istniejącej od X wieku. Współczesny wygląd monastynu pochodzi z XIX wieku, kiedy to dzięki ofiarom społeczeństwa bułgarskiego wybudowano ogromny kompleks klasztorny, wkomponowany w piękne otoczenie. Mury grubości dwóch metrów i wysokości 24 metrów nadają mu wygląd warownej twierdzy i otaczają rozległe budynki. Wnętrze zbudowane jest w stylu bułgarskiego odrodzenia. Wewnętrzny dziedziniec otaczają budynki z łukami pomalowanymi na czarno i biało oraz drewnianymi krużgankami, w których znajdują się cele mnichów.

Główna cerkiew pod wezwaniem Świętej Bogurodzicy to trójnawowa bazylika, oparta na planie krzyża, z kopułą na skrzyżowaniu naw. Ozdobą świątyni są freski i piękny ikonostas.

Zatrzymaliśmy się na kempingu w Złotych Piaskach. I tu zamierzaliśmy spędzić zasadniczą część naszego urlopu. W Bułgarii ceny kempingów, żywności, w tym owoców, były już na naszą kieszeń, zatem mogliśmy zostać tu dłużej.

Po śniadaniu szliśmy na plażę, spędzając czas do późnego popołudnia, później odbywało się gotowanie obiadu na kempingu, zmywanie naczyń, a pod wieczór trzeba było popracować, czyli zająć się handlem na murku przy promenadzie. Gotowanie nie było uciążliwe, bo wszystko mieliśmy w słoikach: kurczaki, schaby, kielbaski, gulasze. Trzeba było tylko ugotować ziemniaki, kaszę lub ryż, przygotować surówkę i obiad gotowy. Owoce i warzywa kupowaliśmy na targu lub od sprzedawców, którzy podjeżdżali pod kemping samochodami wyładowanymi warzywami i owocami. Tamtejsze owoce, dojrzewające w słońcu południa, mają zupełnie inny smak, zapach i wygląd niż te

importowane do Polski. One w Polsce też nam smakowały, bo bardzo rzadko bywały w sklepach, a ich ceny były bardzo wysokie.

Już w pierwszym dniu plażowania spiekleliśmy się na raka. Szczególnie moja skóra nie lubi słońca. Mąż i dzieci mają śniadą cerę i już na drugi dzień byli brązowi. Ja niestety nie. Nie mogłam spać, miałam nawet gorączkę, typowe objawy poparzenia słonecznego. Nie było wtedy kremów z filtrami, a te dostępne nie zapewniały dostatecznej ochrony. Ani krem Nivea, ani żeńszeniowy marki Uroda nie spełniały zadania, nie chroniły skóry przed ostrym, południowym słońcem. Na drugi dzień chowałam się jak mogłam przed słonecznymi promieniami, bo każdy padający promyk dosłownie ranił spieczoną skórę. To był lipiec, słońce było ostre, a upał do 40 stopni Celsjusza. Dzieci nie wychodziły z wody, a ja szukałam tylko cienia. W namiocie wieczorem było jak w piecu chlebowym. W dzień nie było mowy, aby do niego wejść. Dopiero po północy było czym oddychać.

No cóż, z zimnej i deszczowej Polski pojechaliśmy przecież po trochę słońca, więc nie wolno narzekać. A ostatnie lata w kraju były wyjątkowo deszczowe i smutne. Wyjazd nad Bałtyk to tylko strata czasu i pieniędzy. Spędziliśmy takie jedne wczasy w zakładowym domu wczasowym w środku lata na przełomie lipca i sierpnia. Przez dwa tygodnie nie było ani jednego pogodnego dnia. Codziennie oglądaliśmy prognozy pogody z nadzieją, że jutro wyrzy słońce. Niestety, pan Wicherek (ówczesny pogodynek), po dzienniku telewizyjnym nie mógł nam nic optymistycznego obiecać. Któregoś dnia rano wyrzało słońce. Wszyscy wczasowicze na wyścigi obładowani sprzętem plażowym pobiegli na plażę zająć miejsca. My oczywiście razem z nimi. Kiedy zdążyliśmy zająć strategiczne pozycje i nanieść krem Nivea na odkryte części ciała, zerwał się wiatr, nadciągnęła chmurka i zaczęło padać. Wszyscy plażowicze razem z ekwipunkiem plażowym biegiem wrócili do domu wczasowego nudzić się, konsumować napoje wysokowe i przeklinać pogodę.

Czy po takich wczasowych doświadczeniach można było narzekać na słońce, że świeci i grzeje? Na spaloną skórę? Na trzeci dzień

skóra trochę przybladła i dało się wyjść z cienia, chociaż do wody, a wieczorami na murek handlować. Towar schodził bez problemu. Niektórzy klienci po zakupy przychodzili nawet do namiotu.

Na koniec pobytu sprzedaliśmy też większość sprzętu turystycznego, a nadmiar gotówki zamieniliśmy na dolary. Miły pobyt nad morzem dobiegał końca. Postanowiliśmy wracać do domu inną trasą i nie odwiedzać zaprzyjaźnionego Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Wybraliśmy trasę z Bułgarii przez Rumunię, Węgry, Czechosłowację do Polski. W Rumunii zakupiliśmy znacznie więcej rumu niż wolno było przewieźć. Przed granicą poupychaliśmy nadmiar trefnego towaru w spiwory. Dociekliwa celniczka rumuńska zaczęła starannie przeszukiwać bagaże, a moja mała córeczka ucieszona podskakiwała, mówiąc: „juś po wódećcie, juś po wódećcie”. Na szczęście celniczka nie rozumiała takiego języka i znudzona przestała grzebać w bagażach. Rum ocalał.

Postanowiliśmy zwiedzić Budapeszt. Jakimś cudem przewieziony kryształ został sprzedany w korzystnej cenie i mogliśmy pozwolić sobie na szaleństwa w stolicy Węgier. Zakupiliśmy przewodnik po Budapeszcie i rozpoczęliśmy zwiedzanie od Bazyliki św. Stefana przy placu św. Stefana. To największy kościół w mieście, który może pomieścić 8500 wiernych. Usytuowany jest w pobliżu Mostu Łańcuchowego, który jest poświęcony pierwszemu królowi węgierskiemu Stefanowi I. Budowę bazyliki rozpoczęto w połowie XIX wieku. Prace zostały przerwane na etapie robót ziemnych podczas walk wolnościowych w latach 1848-1849. Wznowiono je ponownie w 1851 roku. Szczegółne wrażenie robi 96-metrowa kopuła z mozaiką przedstawiającą Boga Ojca oraz dwie wieże po bokach. Na antresolę kopuły można wjechać windą lub wejść po 297 schodach. Z dziećmi nie zdecydowaliśmy się na ten wysiłek.

Niedaleko bazyliki rozciąga się Most Łańcuchowy, łączący Budę z Pesztem. Most Łańcuchowy to jeden z ostatnich zachowanych mostów tej konstrukcji. Odbudowany został w latach 1948-49 po zniszczeniach wojennych. Całkowita długość mostu to 380 metrów,

a szerokość 14,5 metra. Most był pierwszym stałym połączeniem Budy i Pesztu leżących po przeciwnych stronach Dunaju.

Następnie udaliśmy się przed gmach parlamentu. To najbardziej charakterystyczny budynek w Budapeszcie. Istnieje podobieństwo między parlamentami w Londynie i tym w Budapeszcie, z tym że budapesztański rozciąga się wzdłuż Dunaju aż na 269 metrach. Charakterystyczną cechą tej budowli są setki podpór, 88 postaci władców węgierskich oraz potężna, prawie stumetrowa kopuła. Od kopuły rozchodzą się dwa symetryczne skrzydła. Budowa parlamentu trwała 17 lat i rozpoczęła się w 1885 roku. Do tego momentu nie istniało żadne oficjalne i stałe miejsce zebrań deputowanych. Paradoksalnie, po wybudowaniu parlamentu jego rola znacznie zmalała. Nam niestety nie udało się zwiedzić parlamentu wewnątrz, jest to możliwe jedynie dwa razy dziennie. Gmach ten jest z pewnością najbarwniejszym i najbardziej rzucającym się w oczy obiektem w mieście.

I na tyle byłoby zwiedzania. Dzieci znudzone marudziły, a my zmęczeni też mieliśmy dość. Wyjechaliśmy poza miasto, aby znaleźć kemping na nocleg.

Rankiem ruszyliśmy w stronę granicy z ówczesną Czechosłowacją. Ten kraj ma skomplikowaną historię. Broniąc się przed postępującą madziaryzacją, Słowacy zdecydowali się na związanie z bliskim kulturowo narodem czeskim. Państwo zostało proklamowane 28 października 1918 roku.

Przy nieobecności przedstawicieli Czechosłowacji, Wielka Brytania i Francja, w ramach polityki ustępstw wobec III Rzeszy, pozwoliły Hitlerowi na zajęcie w październiku 1938 roku Kraju Sudetów. W następnych miesiącach Polska zajęła Zaolzie, a Węgry południową Słowację i Ruś Zakarpacką. Po zajęciu przez Niemcy części terytorium, rząd Czechosłowacji podał się do dymisji.

III Rzesza przekształciła Czechy i Morawy w Protektorat Czech i Moraw, na terenie Słowacji powstała Pierwsza Republika Słowacka, a na Zakarpaciu Ukraina Karpacka .

Po II wojnie światowej, w 1945 roku, powstała Republika Czecho-

słowacka. W 1948 roku władzę, w wyniku zamachu stanu, ostatecznie przejęli komuniści. Okres stalinowski zakończył się w Czechosłowacji w 1960 roku. Rozpoczęła się delikatna odwilż. Interwencja wojsk Układu Warszawskiego w roku 1968 przywróciła do władzy tzw. twardogłowych. Jediną niewycofaną reformą okresu Praskiej Wiosny (5 stycznia 1968 – 21 sierpnia 1968) było wprowadzenie reformy administracyjnej, która dzieliła kraj na dwie republiki – Czeską oraz Słowacką Republikę Socjalistyczną.

Pod koniec lat 70-tych XX wieku powstała w Czechosłowacji organizacja opozycyjna o nazwie Karta 77, do której należał między innymi Václav Havel. Przyczyniła się ona w dużym stopniu do obalenia władzy komunistycznej w Czechosłowacji w 1989 roku. Usunięto ze stanowiska prezydenta Gustáva Husáka, który sprawował władzę od 1975 roku, a na jego miejsce powołano pisarza Václava Havla. W okresie jego rządów kraj przekształcono w republikę federalną. Ostatecznie zatwierdzono rozpad Czechosłowacji i powołano do życia Czechy oraz Słowację.

Bez przygód przekraczamy granicę węgiersko-czechosłowacką oraz czechosłowacko-polską i wracamy do krainy deszczowców. Ojczyzna przywitała nas chłodem i deszczem. Przykro ze słoneczno-upalnej pogody wracać do chłodnej i deszczowej aury. No, sorry: taki mamy klimat.

Pokonaliśmy wiele kilometrów, zdobyliśmy sporo doświadczenia w przekraczaniu granic. Wyrobiliśmy sobie własną opinię o handlu zagranicznym na urlopie. Poznaliśmy zwyczaje ludzi w odwiedzonych krajach. Z pewnością i większą odwagą ruszymy na kolejne wyprawy zagraniczne. Podobało nam się, chociaż nie obyło się bez niepowodzeń, problemów i wpadek. Trzeba płacić frycowe, a nauka kosztuje. Nie zarobiliśmy kokosów jak niektórzy urlopowi handlarze, którzy chwalili się, że tyle udało im się sprzedać, chyba że tylko przechwalali się. Urlop nie kosztował nas nic, a po całkowitym rozrachunku, jeszcze trochę dolarów zostało na zakup towaru na następną wyprawę.

Kolejna wyprawa rodzinna – do Grecji

Lato 1986

Już od początku roku przygotowywaliśmy się do wyjazdu. Tym razem nie sami, ale w towarzystwie przyjaciół. Moja przyjaciółka z pracy Dorota namówiła mnie na wspólny wyjazd z jej mężem Jerzym i dwójką dzieci. W późniejszym terminie zadeklarowała dołączenie do nas szwagierka Doroty – Grażyna z córką Elizą.

Biegałyśmy z Dorotą po sklepach, które świeciły pustkami, polując na jakikolwiek towar handlowy i sprzęt turystyczny. Wyjazd oczywiście planowany był w wakacje, w okresie koniec lipca – początek sierpnia. My jechaliśmy polonezem. Dorota z rodziną fiatem 125p, a szwagierka maluchem, czyli fiatem 126p. My ciągnęliśmy przyczepki namiotowe przymocowane do naszych samochodów, a Grażynka podróżowała samym maluszkiem, za to załadowanym towarem, namiotem i całym pozostałym ekwipunkiem. Przyczepki namiotowe miały tę zaletę, że można było załadować dużo towaru handlowego oraz niezbędnego ekwipunku. Dodatkowo na dachu samochodu mieliśmy bagażnik. Przecież trzeba było zabrać konserwy, słoiki, ziemniaki, ryż, makaron i wszystkie inne wiktuały niezbędne do żywienia rodziny przez dwa tygodnie pobytu oraz drogę dojazdu i powrotu. To musiało być w całości przemyślane i dobrze zorganizowane przedsięwzięcie. Wówczas w biurze turystycznym Orbis załatwiała się wszelkie formalności. Wykupiliśmy tydzień pobytu na kempingu. Zapewniało to możliwość rozłożenia namiotu, zaparkowania samochodu i korzystania z zaplecza socjalnego na tymże kempingu, czyli toalet i pryszniców. Kemping zlokalizowany był przy plaży na Riwierze Olimpijskiej, w pobliżu góry Olimp. Ponoć nad Morzem Egejskim rozciągają się najpiękniejsze plaże.



Pakowanie bagażu przed podróżą

Z domu wyruszyliśmy sami, bo Dorota z rodziną wyjechała dzień wcześniej, aby razem ze szwagierką ruszyć z Wrocławia. Mieliśmy się spotkać w pobliżu granicy z Czechosłowacją i w trzy rodziny pokonać drogę do Grecji. Niestety, nie było telefonów komórkowych, ani innej możliwej łączności w trasie. Nie spotkaliśmy się ani przed granicą z Czechosłowacją, ani też za granicą. Kontynuowaliśmy więc podróż sami. Umówiliśmy się przezornie wcześniej, że będziemy przekraczać granicę jugosłowiańsko-grecką w rejonie Macedonii.

Po przejechaniu Czechosłowacji i Węgier, przekroczyliśmy granicę węgiersko-jugosłowiańską i zatrzymaliśmy się na parkingu w pobliżu domu towarowego. Dzieci zauważyły, że na tymże parkingu stoi samochód Doroty. Nie było nikogo w samochodzie, poczekaliśmy więc około pół godziny, a następnie na zakurzonej karoserii samochodowej napisaliśmy informację: „Byliśmy, czekaliśmy, jedziemy w stronę Skopje do granicy”.

Dalej przemierzaliśmy Jugosławię, kierując się w stronę Skopje. Zrobiło się późno, jako pilot zaczęłam z niepokojem szukać miejsca

noclegowego, jakiegoś kempingu. Zauważyłam na mapie, że niedaleko, za około 10 kilometrów jest takie miejsce. Zadowoleni odetchnęliśmy z ulgą. Po dojechaniu na kemping okazało się, że jest nieczynny, ciemny i nieoświetlony, a do tego zabezpieczony szlabanem. Ot i przykrość, co robić? Zatrzymaliśmy się przed szlabanem i co widzimy? Szlaban podnosi się, a z ciemności wychodzi mąż Doroty – Jerzy. Już rozweselony po piwku, zaprasza nas na kemping, oczywiście nieczynny, ale przez kilka rodzin okupowany na dziko. Wieczór zapowiadał się wesoło, z takimi kompanami nie mogło być smutno. Jerzy lubił popić i miał w życiu wielki fart, o czym mieliśmy się przekonać później. A po takim zbiegu okoliczności, skoro los już dwukrotnie nas połączył, należało podroź kontynuować wspólnie.

Do świętowania dołączyli się jeszcze podróżujący Polacy i tak razem przez cały wieczór wesoło spędziliśmy czas. Rano panowie nie bardzo nadawali się do kierowania pojazdami, a my, panie, nie rwałyśmy się do jazdy samochodami z przyczepami i to w obcym kraju. Po bardzo późnym śniadaniu wyruszyliśmy w stronę granicy greckiej, obecnie tereny Macedonii. Farciarz, szczęściarz Jerzy (tak go nazywaliśmy) wymyślił, że granicę to my przekroczymy jutro, a dziś odpocznijemy nad jeziorem w pobliżu granicy. Rozbiliśmy obozowisko nad jeziorem i oczywiście zaczęła się zabawa wieczorna z zaprzyjaźnionymi tubylcami. Jugosłowianie to bardzo przyjazny naród. Jerzy miał zdolności dogadywania się nie znając języka. A po otworzeniu butelki to dopiero nam języki się rozwiązały. Panie Jugosłowianki nie dołączyły do naszej wesołej kompanii. Pytamy, dlaczego siedzą w swoim namiocie i nie chcą z nami się bawić. Jeden z mężów tłumaczy, że jego żona: „na srami se”. Nam się to skojarzyło niezbyt elegancko i wywołało ataki śmiechu, niezrozumiałego dla nich. Jerzy miał jednak dar przekonywania i przyprowadził kobiety, które po prostu wstydziły się przyjść do nas. Czyli to dwuznaczne słowo w języku chorwackim znaczy po prostu wstyd. Zabawa trwała długo, przyjaciele upili się polską mocną wódką i na drugi dzień oni, gdy wytrzeźwieli „srami se” nas.



Nasza codzienna toaleta i...



...biznes na kempingu

Do wieczora kąpaliśmy się w jeziorze, wypoczywaliśmy po podróży, a w nocy zaplanowaliśmy przekroczenie granicy, licząc na łaskawość celników, którzy wyczuli Polaków i ich zamiary handlowe. Na granicy wpisywali do paszportów towary turystyczne, które nie mogły być sprzedane i w drodze powrotnej musiały być wywiezione z powrotem.

Wykąpani i odświeżeni ruszyliśmy na podbój granicy. Celnicy dociekliwie zaczęli kontrolę z chęcią wpisów w paszporty i wtedy nasi panowie wysłali mnie i Dorotę do tych przystojniaków celników w celu negocjacji, aby odstąpili od tego zamysłu. Czego nie mogli załatwić panowie, nam blondynkom udało się. Warunek był taki, że mamy zatrzymać się na parkingu za granicą, bo oni, znaczy się celnicy, kończą zmianę i przyjdą do nas z paszportami. Przyszli, włączyliśmy muzykę i impreza trwała do późna. Celnicy obdarowani polską wódką oddali nam czyste paszporty, a my pełnoprawnie mogliśmy handlować towarem.

Późnym rankiem wyruszyliśmy w stronę kempingu. Dotarliśmy już w nocy, było ciemno, musieliśmy do rana poczekać, ale nie wiedzieliśmy, gdzie można się zatrzymać. Stanęliśmy w pobliżu jakiejś głośnej tawerny, no i poliglota Jerzy poszedł zasięgnąć języka, gdzie możemy nasze karawany rozbić. Wszedł do knajpy, długo go nie było. W końcu wyszedł z jakimś facetem, stanął na środku drogi i rozmawiają. Nam już się dłużyło i zachodziliśmy w głowę, jak on z tym Grekiem się dogaduje. Wreszcie wrócił i mówi, że możemy tu, pod tą tawerną, zostać do rana. Ciekawość nas zżerała, jak on się dogadał z tym Grekiem. Pytamy go, a on mówi, z jakim Grekiem, przecież to Polak, on tu pracuje. Z Jerzym to tylko jeździć, nawet w środku nocy pod grecką tawerną spotka Polaka, bo jego prześladuje życiowy fart. Miał tylko jedną przypadłość, niekorzystną w podróży, prawie nie trzeźwiał.

Rankiem zainstalowaliśmy się na kempingu i pora na plażę. Cudne to Morze Egejskie, piękne plaże, tawerny z muzyką grecką i tańcem á la Grek Zorba, urzekającą atmosferą i cudnym słońcem.